

Szkoła
Dyrektora
Dreamera

Justyna Balcewicz

Szkota Dyrektora Dreamera



ilustrowała Zofia Zabrzaska

Wydawnictwo Skrzat
Kraków

*Małgorzacie i Izabelli,
które zawsze we mnie wierzyły*



Poniedziałek, który zmienił wszystko

To był całkiem zwyczajny dzień. Kolejny deszczowy poniedziałek w Londynie. Mieszkańcy Barlby Road powoli otwierali ciężkie powieki i gramolili się spod ciepłych kołder, aby ochlapać twarz wodą w łazience i zmyć z siebie resztki snu. W lustrach witały ich podkrążone oczy, zaspane twarze, zbyt grube sylwetki, za bardzo zadarte nosy, za wysokie czoła albo czoła zbyt niskie. Każdy przy porannych oględzinach znajdował coś, co mu się w lustrzanym odbiciu nie podobało. Każdy poza Liz, która najzwyczajniej w świecie nie patrzyła w lustro. Za to jej mama, Helen, wykorzystywała ten czas podwójnie, już od samego rana wcierając w swoją twarz tony kremów, odmładzających emulsji i ujędrniających olejków. Helen poświęcała dużo uwagi pielęgnacji swojej urody i nie bez przyczyny cieszyła się opinią najbardziej zadbanej kobiety w swoim otoczeniu. Zwykle zajmowała na cały rano łazienkę koło sypialni. Z tego powodu tata Liz, który nazywał się Jack i był dyrektorem w firmie deweloperskiej, musiał przynosić swoją toaletę do niewielkiej łazienki znajdującej się na parterze, zaraz koło drzwi wejściowych. Po przebudzeniu ciasno owijał się szlafrokiem, wsuwał na stopy ciepłe, wyściełane pluszem kapcie i schodził

po drewnianych schodach na dół. Mówiąc szczerze, Jack bardzo lubił ten swój poranny rytuał. Łazienka na parterze znajdowała się koło głównego wejścia do domu, więc gdy zostawiał uchylone drzwi, mógł usłyszeć chłopca rozwożącego pocztę, który codziennie o szóstej trzydzieści zajeżdżał przed dom państwa Lamerów. Jack uwielbiał pocztę, a najbardziej gazety, które jak zahipnotyzowany pochłaniał przy śniadaniu, by potem cały dzień móc się przechwalać wśród swoich kolegów z pracy nowinkami, które znajdował w dziennikach. Pierwszy wiedział o każdym odkryciu technologicznym, o wydarzeniach politycznych w kraju i drobnych inicjatywach społecznych w dzielnicy. Dzięki temu uchodził za najlepiej poinformowanego w gronie swoich znajomych. Schlebiała mu ta opinia i każdego dnia robił wszystko, by wiedzieć więcej niż dnia poprzedniego. Dlatego też, kiedy tylko usłyszał, jak chłopak rozwożący pocztę zaskrzypiał rowerem pod drzwiami ich domu, podbiegł mu otworzyć.

– Dzień dobry, panie Lamer – powiedział przyjaźnie chłopiec.

– Dzień dobry, Beniaminie. Masz dzisiejszą pocztę?

– Oczywiście, panie Lamer, proszę bardzo. Do jutra, panie Lamer. Miłego dnia!

Ale ostatniego pozdrowienia zaczytany w pierwszych nowinach ze środowego poranka Jack już nie słyszał. Po omacku dotarł do kuchni, gdzie machinalnie usadowił się za stołem

i zanurzył nos w pachnącym świeżym drukiem „Kurierze Codziennym”.

Kiedy jego żona, Helen, pół godziny później zeszła na śniadanie, Jack wiedział już wszystko o wczorajszym wypadku samochodowym, który miał miejsce w okolicach Piccadilly Circus. Znał dokładnie szczegóły trasy biegów maratońskich organizowanych w najbliższy weekend i potrafił wymienić z pamięci aktualne wyniki trwającej właśnie czwartej ligi koszykówki, włącznie z nazwiskami czołowych graczy i trenerów.

– Dzień dobry, kochanie – powiedziała Helen, wchodząc do kuchni. A w zasadzie nie powiedziała, tylko zapiszczała. Helen Lamer miała bowiem niezwykle wysoki głos, który bardziej przypominał popiskiwanie małego szczeniaczka niż mowę ludzką. Jednak żaden szczeniaczek z pewnością nie piszczał tak zawzięcie jak Helen, której buzia zamykała się tylko wtedy, gdy jadła albo spała. A czasem nawet wtedy nie. Helen uwielbiała mówić i było jej całkowicie obojętne, czy ktokolwiek jej słucha. Z lubością komentowała wszystko, co działo się dookoła, wygłaszając zdecydowanie swoje racje, pochwały i oburzenia. Tych ostatnich zdarzało się najwięcej, jako że Helen Lamer była wielką pedantką, miłośniczką porządku, dobrych manier, tradycyjnych zasad i norm społecznych. Każde wykroczenie przeciwko temu, co wypada, nie uchodziło jej bystrym zmysłom i każde musiało zostać odpowiednio

skrytykowane i potępione. Niechlujny strój, krzywo zawinięty mankiet koszuli, pogardliwa mina, zbyt głośne przełykanie śliny, nieobyczajne kichanie lub mlaskanie przy jedzeniu – wszystko spotykało się z odpowiednim komentarzem, a delikwent, który pozwolił sobie na TAKIE ZACHOWANIE, zostawał odnotowany, jego wina zaś zapamiętana. Biedak musiał pogodzić się z pełnym upokorzenia spojrzeniem, jakim obdarowywała go Helen przy każdym kolejnym spotkaniu.

– Czy był już dziś Beniamin? No wiesz, ten chłopiec od poczty. Widziałam go wczoraj po południu na rowerze. Wyobrażasz sobie, że miał dziurę w spodniach na prawym kolanie?! Cóż za niechlujstwo. Doprawdy nie mam pojęcia, co też robią jego rodzice całymi dniami, skoro pozwalają na coś takiego. Powinno się karać takie zaniedbania, któż to słyszał!

– Aha – mruknął Jack znad gazety bardziej z przyzwyczajenia niż potrzeby poparcia opinii żony. Wiedział, że Helen tak naprawdę nie mówi do niego. Jej trajkotanie przeniosło się do gabinetu, gdzie zabrała się za pakowanie materiałów do pracy. Helen pracowała jako handlarz nieruchomości w niewielkiej firmie. Jej oszałamiające sukcesy w sprzedaży nieoficjalnie przypisywano wysokiemu tonowi głosu, którego żaden klient nie był w stanie długo wytrzymać. Dla świętego spokoju podpisywał umowę bez zbędnych negocjacji, a Helen zbierała profity z kolejnej udanej transakcji. Była niezwykle dumna ze swojej pozycji w firmie. Jak zawsze nienagannie ubrana w dopasowaną

ołówkową spódnicę i białą bluzkę zapiętą pod szyję, wyglądała jak prawdziwa bizneswoman. Kasztanowe włosy związała w luźny kok nad karkiem nadający jej powagi i podkreślający profesjonalny image.

Pan Lamer dotrzymywał żonie kroku w schludnym i zawsze nienagannie dopasowanym ubiorze. Nosił klasyczne grafitowe garnitury, które wszystkie wyglądały identycznie. Prostota tego rozwiązania dawała mu przekonanie, że codziennie wygląda równie dobrze jak dnia poprzedniego. Zawsze tak samo zaczesywał swoje rzadkie włosy, aby zakryć powoli rozprzestrzeniającą się na czubku jego głowy łysinę. Paznokcie obcinał krótko, a szyję skrapiał od czterdziestu lat tymi samymi perfumami. Nie dbał o swój wizerunek z takim zacięciem jak jego żona, ale wiedział, że jak na swój wiek prezentuje się znakomicie, i uważnie pilnował, aby nic nie zmieniło tego stanu rzeczy. Państwo Lamerowie byli bardzo dopasowanym małżeństwem, nie tylko pod kątem wyglądu. Choć po dwudziestu latach znajomości wielokrotnie spierali się o codzienne drobiazgi, to jednak łączyła ich jedna wspólna paranoja, która sprawiała, że było im razem bardzo dobrze. Było to zamiłowanie do ideału, a nade wszystko pragnienie, aby zawsze zajmować jak najlepszą pozycję i posiadać to, co najlepsze. Przywiązanie do przedrostka NAJ cechowało niemal każdą dziedzinę ich życia. Mieli więc NAJlepszy na rynku samochód, NAJschludniejszy dom, NAJpiękniejszy ogród, za którego utrzymanie płacili niebotyczną pensję NAJlepszemu

ogrodnikowi w mieście. Mieli NAJlepsze posady w swoich zawodach, NAJlepiej dobrane ubrania, pochodzące z NAJnowszych kolekcji NAJlepszych londyńskich sklepów. Mieli również największe pod słońcem zmartwienie, które sprawiało ich o ból głowy niemal każdego poranka i co wieczór nie pozwalało spokojnie zasnąć. Ich zmartwienie miało już prawie czternaście lat, nieposkromioną burzę brązowych włosów, inteligentne niebieskie oczy i nic sobie nie robiło z zamiłowania rodziców do ideału. Dziewczynka nosiła imię Elizabeth, które zdaniem jej rodziców było najpiękniejszym imieniem dla kobiety, a jeszcze dodatkowo w roku urodzenia dziecka zajmowało pierwsze miejsce w Wikipedii w rankingu imion przynoszących szczęście. Żeby przez przypadek tego szczęścia nie zakłócić, Helen i Jack zawsze nazywali córkę właśnie Elizabeth, zacięcie walcząc ze wszystkimi formami skrótów i zdrobnień. Po czternastu latach byli jedynymi ludźmi, którzy używali pełnej formy imienia, zamiast nazywać dziewczynkę po prostu Liz.

– Bezrobocie w zeszłym miesiącu wzrosło o dwie dziesiąte procent w stosunku do zeszłego roku – zamruczał Jack, nawet nie podnosząc głowy znad gazety.



– Czyli idzie kryzys – skomentowała Helen, z zacięciem pilując paznokcie. – Mój fryzjer przewidział to już w zeszłym miesiącu...

– Elizabeth będzie musiała znacznie poprawić swoje wyniki w nauce. Wyższe bezrobocie oznacza statystycznie dwie osoby więcej na każdej rozmowie rekrutacyjnej, więc szanse zdobycia porządnej pracy dla naszej córki istotnie maleją.

Helen znacząco uniosła brew i zacisnęła usta.

– Jack, nasza córka w zeszłym miesiącu nie zdała dwóch sprawdzianów z matematyki i jednego z angielskiego. Cztery razy wagarowała. Doprawdy, to muszą być geny twojej ciotecznej babki Oliwii, bo w mojej rodzinie wszyscy byli bardzo porządnymi uczniami. Nawet wujek Edward, który miewał problemy w szkole, wyszedł na ludzi. Co prawda dlatego, że wzenił się w bogatą rodzinę kuzyneczki Emilii, która zawsze słynęła z niewyparzonego języka i totalnego bezguścia...

Jack westchnął, odkładając gazetę, i w zamyśleniu siorbował łyk gorącej kawy, całkowicie ignorując piskliwy słowotok żony, która dawno zdążyła się już zanurzyć w koneksjach rodzinnych w okolicy trzeciego pokolenia. Tak, Elizabeth była zmartwieniem, z którym od czternastu lat państwo Lamerowie nie potrafili sobie poradzić. Jej wybryki burzyły ich spokojny świat, w którym nie było mowy o porażkach. Odnosili sukcesy zawodowe, towarzyskie, społeczne i tylko na polu wychowawczym wciąż coś było nie tak. Elizabeth nie chciała się uczyć. Ba! Ostentacyjnie sprzeciwiała się systemowi edukacji, głosząc, że